

Ks. STANISŁAW MAŁKOWSKI

ŻOŁNIERZ PIERWSZEJ LINII

Poznałem ks. Jerzego jako kleryka w seminarium, już po odbyciu przez niego służby wojskowej w kleryckiej jednostce w Bartoszycach. Jestem od niego starszy, ale później przyszedłem do seminarium, on był dwa lata wyżej ode mnie.

Ponieważ byliśmy na różnych rocznikach, nie mieliśmy jakichś szczególnie bliskich kontaktów. Spotykaliśmy się raczej sporadycznie na korytarzach, podczas spacerów w ogródku. Pamiętam jednak, że był szanowany przez kolegów, cieszył się pewnym autorytetem, jako ten, który był w wojsku i wykazał się tam odwagą i męstwem. W latach siedemdziesiątych była ta słynna branka kleryków do wojska. Ci, którzy godnie przebyli dwuletnią służbę wojskową i powracali do seminarium, mieli pewien prestiż wśród kolegów.

Pod koniec lat siedemdziesiątych ks. Jerzy pracował przy kościele akademickim św. Anny, prowadził konwersatoria dla studentów, włączył się też w duszpasterstwo Służby Zdrowia. Wtedy mieliśmy częstsze kontakty, zapraszał mnie tam z prelekcjami o obronie życia dzieci poczętych. Czasem, wiedząc, że zajmuję się ruchem obrony życia „Gaudium Vitae”, pomagał mi, przekazując coś z darów zagranicznych – mleko w proszku, odżywki, witaminy dla matek z dziećmi.

Fot. z archiwum parafii św. Stanisława Kostki w Warszawie



Msza św. za Ojczyznę, Boże Narodzenie – 25 grudnia 1983 r.
Od lewej: ks. Bogdan Liniewski, ks. Jerzy Popiełuszko, ks. Stanisław Małkowski

Później ks. Jerzy został przeniesiony do kościoła św. Stanisława Kostki i tam można mówić o przypadku sterowanym przez Opatrzność Bożą. Kapelan księdza prymasa Stefana kard. Wyszyńskiego, ks. Bronisław Piasecki, zaproponował mu, żeby zajął się duszpasterstwem hutników z Huty Warszawa. On bardzo chętnie się zgodził. Szybko znalazł wspólny język z hutnikami. Bardzo łatwo zresztą nawiązywał kontakt z różnymi grupami społecznymi, nie tylko – jak w tym przypadku – z robotnikami, ale także z inteligencją, pielęgniarkami, artystami... Umiął gromadzić ludzi, jednoczyć ich, zachęcać do wspólnego działania. Organizował spotkania, na których poznawali się ludzie z różnych środowisk. To zaowocowało później, kiedy zaczął organizować Msze św. za Ojczyznę. Przecież w to dzieło zaangażowali się wszyscy, z którymi miał kontakt – artyści tworzyli niepowtarzalną oprawę tych mszy.

Po nominacji na kapelana „Solidarności” Huty Warszawa ks. Jerzy bardzo szybko urósł, stał się znany. Urósł autentycznie, to mogło wydawać się zaskakujące, bo on wcześniej nie był związany z opozycją ani KOR-owską, ani ROPCiO-wską. On po prostu podjął w pełni zadanie, które mu zostało powierzone. Angażując się w sprawę „Solidarności”, nie odgrywał w żadnej mierze roli politycznej, był po prostu księdzem, duszpasterzem.

W kościele św. Stanisława znalazł ojca i protektora w tamtejszym proboszczu ks. prałacie Teofilu Boguckim. W tym okresie często się spotykaliśmy, bo mnie przecież także interesowały losy „Solidarności”. Coraz częściej rozmawialiśmy na te tematy. W stanie wojennym opowiadał niekiedy o tym, jak jest inwigilowany. W lipcu 1983 r. odwiedziłem go i wtedy zaproponował, żebym odprawiał wieczorne msze za kaptanów, którzy wyjechali na urlop. Z tego zaproszenia wynikała moja stała współpraca z kościołem św. Stanisława, uzgodniona z księdzem proboszczem. Wiele razy koncelebrowałem z nim Mszę św. za Ojczyznę. Pamiętam, że miał grono osób, z którymi konsultował kazania przygotowywane na te msze. Nie należałem do tego grona, byłem raczej w cieniu.

Pomagając w parafii św. Stanisława, chodziłem z Komunią św. do chorych w pierwsze piątki miesiąca. Kiedyś rano wychodziłem z parafii do chorych i widziałem, jak ks. Jerzy przeszedł pomiędzy obstawiającymi plebanię ubekami – wyglądało to tak, jakby oni go nie rozpoznali – wszedł do budynku i zamknął drzwi. Później widziałem, jak oni dobijają się do plebanii. On im nie otwierał. Potem były te znane prowokacje – wrzucenie cegły przez okno, podrzucenie różnych materiałów do mieszkania na ul. Chłodnej, wśród których był też powielony tekst napisany przeze mnie.

Pamiętam też spotkanie księży w kurii warszawskiej, podczas którego kilku kaptanów krytykowało postawę Księdza Prymasa jako zbyt zachowawczą. Niektórzy mówili, że tracimy wiarygodność. Te wypowiedzi nagłośniła później paryska „Kultura”. Ks. Jerzy też był na tym spotkaniu, ale nie zabierał głosu.

W tamtym czasie zdarzało mi się używać czasem w kazaniach bardzo ostrych sformułowań, natomiast wypowiedzi ks. Jerzego były inne – nie ma w nich takich słów jak komunizm, totalitaryzm. On upominał się o podstawowe wartości, mówił o zadaniach władzy, ale nigdy nie wymieniał żadnych nazwisk. Kiedyś nawet zapytany, dlaczego nie powie wprost o Jaruzelskim, odpowiedział, że on walczy ze złem, a nie z jego ofiarami. On nawet nie powiedział „narzędziami”, tylko „ofiarami”, bo traktował ich też jako ofiary zła. Muszę przyznać, że podobała mi się jego postawa, chociaż sam miałem trochę inną. Ks. Jerzy był w tym bardzo konsekwentny podczas wszystkich Mszy św. za Ojczyznę. Będąc bardzo wrażliwym na sprawy społeczne, potrafił odnosić bieżące problemy do Ewangelii. Ludzie chłonęli jego słowa, bo tak jak do oddychania potrzebne jest powietrze, tak do zachowania godności potrzebna jest prawda, którą on głosił z całą prostotą. On kierował się wskaza-

niem Pana Jezusa: „Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli”. Przpominanie w tamtych warunkach podstawowych prawd było rewelacją.

Z czasem, już w 1983 roku, narastało poczucie zagrożenia. On zdawał sobie z tego sprawę. Ja byłem przyzwyczajony do tego, że mam telefon na podsłuchu, korespondencja jest kontrolowana, ale nie czułem jakiegoś bezpośredniego zagrożenia. On był znacznie bardziej zagrożony, był bardzo ostentacyjnie inwigilowany. Esbecy chcieli go zastraszyć. Kiedy o tym opowiadał, widać było, że zdaje sobie sprawę, że mogą go zabić, a jednocześnie czuło się pewną emocję, z jaką o tym mówił. On wiedział, że znalazł się w ogniu walki. Przeżywał to trochę jak żołnierz. Starał się jednak zachować wobec tego wszystkiego dystans.

Dopiero z procesu toruńskiego dowiedziałem się, że w pierwszej wersji to ja miałem być zamordowany. Na liście księży „do likwidacji” sporządzonej przez Adama Pietruszkę byłem na pierwszym miejscu. Grzegorz Piotrowski przesunął mnie na drugie miejsce. Uznał bowiem, że ks. Jerzy jest większym zagrożeniem. Ja działałem w pojedynkę, wygłaszałem w różnych miejscach kazania. Ksiądz Jerzy nie był sam. Skupiał wokół siebie bardzo wielu ludzi. Był nie tylko kapłanem, ale stał się symbolem „Solidarności”. Piotrowski obawiał się, że zlikwidowanie mnie uniemożliwi zlikwidowanie ks. Jerzego, bo natychmiast zostanie wzmocniona jego ochrona. Sądził natomiast, że po zabiciu ks. Jerzego będzie można zlikwidować mnie i innych niewygodnych kapłanów. Wybór padł więc na ks. Jerzego. On ocalił moje życie. Jako Chrystusowy żołnierz pierwszej linii ostaniał tych, którzy szli za nim.

Opracował Jan M. Ruman

ROMA SZCZEPKOWSKA

UCIEKAM PRZED NIENAWIŚCIĄ

Pierwszy raz zobaczyłam ks. Jerzego na procesach robotników Huty Warszawa. Zrobiliśmy wtedy akcję pójścia tzw. osób znanych, chodziło o nacisk opinii publicznej na sędziów. Ujrzałam w kuluarach młodego księdza, który podchodził do różnych osób, komuś dawał cukierka, z kimś chwilę rozmawiał... Nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi.

Pewnego dnia na procesie robotników Ursusa mieliśmy miejsce obok siebie. Bardzo trudno było usiedzieć bez protestu. Świadkowie byli bardzo zmanipulowani. Ten młody ksiądz siedzący koło mnie nagle szybko wyszedł. Wydawało mi się, że był błady. Wyszłam za nim i delikatnie zapytałam: czy ksiądz poczuł się źle? Odpowiedział, że nie. – Ale dlaczego wobec tego ksiądz wyszedł? – dopytywałam. Wtedy żartobliwie odpowiedział: nie zwykłem się spowiadać przed pćią piękną. Stwierdziłam: Nie odejdę, bo może ksiądz się źle czuje. Im szybciej mi ksiądz powie, co się dzieje, tym będzie lepiej. On ścisł, spojrzał na mnie i powiedział zdanie, które zaważyło na całym moim dalszym życiu: Uciekam przed nienawiścią.

Na każdej rozprawie siadałam koło niego. Pamiętam, że kiedy skończyła się rozprawa Ursusa, zwrócił się do mnie, czy mogę zostać. Czy możemy zjeść razem obiad w sądzie, bo chciałby jeszcze tu być? Byłam tym bardzo wzruszona. Wszyscy już poszli. W czasie posiłku zagadnął mnie, czy nie zechciałabym zostać z nim i poczekać, aż będą wychodzić sędziowie. – A co ksiądz chce zrobić? – zapytałam. – Spojrzeć im w oczy. Tylko spojrzeć w oczy.

– Ja też tego chciałam. Staliśmy. Wychodziła woźna, pani Wiesia. Co tutaj robicie? – zdziwiła się. – Nic – odpowiedziałam. – Chcemy spojrzeć w oczy wychodzącym sędziom. – Proszę odejść! – Odpowiedziałam: Proszę nas zrewidować. Nie mamy przy sobie niczego. Oddam pani swoją torebkę. My tylko chcemy spojrzeć w oczy. – Wyszli bocznymi drzwiami. Pewnie wiedzieli, że nie mogą spojrzeć w oczy. I tak się zaczęła ta przyjaźń.

Pracowałam wówczas w Komitecie Prymasowskim. On mi kiedyś powiedział, że z racji moich rodzinnych powiązań z artystami prosi mnie o pomoc w wyszukiwaniu aktorów, którzy by wzięli udział w Mszy św. za Ojczyznę i pomogli w doborze tekstów. Ksiądz Jerzy nie był erudyta. Obca mu była jakaś wyrefinowana literatura. Na tym tle często były między nami spory. Odrzucał Norwida. Wolał domorosłych poetów. Jak zawsze miał rację, bo to bardziej trafiało. Tak to się zaczęło. Mieliśmy codzienny kontakt. Przybiegał do komitetu. Do nas do domu przychodził w środy. Wtedy był zawsze w kurii. A my mieszkaliśmy blisko na Starym Mieście.

Ostrzegaliśmy go, żeby uważał na siebie. Bagatelizował to. E tam – charakterystyczne dla niego. – Nic nie zrobią. Polski ksiądz jeszcze się liczy. – Chętnie w to wierzyliśmy. Tak było wygodniej. To nasz wyrzut sumienia, który nigdy już nas nie opuści. Gdybyśmy wierzyli sobie, to może by żył. Powinniśmy jeździć z nim wszędzie w dziesięć samochodów.

Ogromnie lubił moją córkę i jej rodzinę. Szczególnie moją wnuczkę Marysię, która miała dwa lata. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy siedzącego u mnie w pokoju, niczym nie przypominał księdza. Rzadko chodził w sutannie. Była dla niego czymś w rodzaju przebrania. Marysia weszła do pokoju, pokazała na niego i powiedziała: Ty jesteś „kiędz”. Mało nie oszalał ze szczęścia, ponieważ tylko dziecko może coś takiego wyczuć. Później, gdy było nam ciężko, dawał na Marysię pięć tysięcy. Nie była to duża suma, ale wystarczająca na jej utrzymanie. Kochał ją bardzo.

Na tydzień przed jego śmiercią byłam u wnuczki. Córka wybrała się do niego z prośbą, czy nie pojechałby do Stalowej Woli. Powiedział: Nie mogę pojechać. Zostawcie mnie. Nie każcie mi tak jeździć po całej Polsce. Córka, kiedy wróciła, mówiła, że Jurek zachował się pierwszy raz jakoś dziwnie. Tak sobie myślę, że gdyby pojechał do Stalowej Woli, może by żył.

Ja się tak potwornie bałam o niego. Przeczuałam, że coś musi mu się stać. Jak szedł rozdawać Komunię wśród ludzi, cały czas siedziałam niedaleko ołtarza. Rozglądałam się, bo się bałam, że go ktoś pchnie nożem. Dopiero jak wracał, to się uspokajałam, że jest.

Coś przeczuał. Najbardziej to było widoczne – tylko wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy – 26 sierpnia 1984 roku. To była ostatnia Msza św. za Ojczyznę. Napisał list do kurii z prośbą o wysłanie go do Rzymu. Miał taką propozycję. Z wszystkimi przyjaciółmi dzielił się tym, że sam o to nie poprosi, ponieważ wyszłoby na to, że stchórzył. Mówił nam, że owszem, jeżeli Kościół go wyśle, to będzie postuszny. 26 sierpnia miał przyjechać ks. bp Zbigniew Kraszewski i powiedzieć, że wysyłają go do Rzymu. Czekaliśmy. Nie pojawił się. Kazanie miał ks. Jerzy. Była nieprawdopodobna liczba ludzi. Nigdy chyba tylu nie było. Tysiące. Pobiegłam do jego pokoju. Zachowywał się przedziwnie. Otworzył okno. Wyrzucał ludziom tekst swojego kazania. Odciągnęłam go za sutannę. – Co ty wyprawiasz?! Co to za *urbi et orbi*?! Opanuj się, człowieku! – Powiedział, żebym wyszła z pokoju. Przeszłam do sąsiedniej salki. Po jakimś czasie zawołał mnie. – Miałaś rację. Nie powinienem się tak zachowywać. – Po jego śmierci zdałam sobie sprawę, że to był potworny strach. Że on bardzo chciał jechać do Rzymu, że coś przeczuał. Zrozumiał, że został zupełnie sam. Że nikt nie będzie go bronił. Bał się bardzo. A jednocześnie tylko ten jest odważny, kto się boi. On się wtedy zęgnął z ludźmi.

Opracował Jan M. Ruman